Dodatek do Nr. 48 „Prawdy".

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 24. Sobota, dnia 28-go Listopada. Rok 1908

O JANKU OSADNIKU.

(POWIASTKA Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA).

Janek urodził się w Kieleckiem, w małej wiosce, położonej w prześlicznej górzystej okolicy niedaleko od Jędrzejowa.

Urodził się biednym, a rodzice odumarli go jeszcze dzieckiem, kiedy zaledwie potrafił wymawiać ich imiona. Janek winien był swe dalsze życie i wychowanie litości dobrych ludzi.

Nauczył się czytać i pisać, i na tem ograniczało się jego wychowanie.

W dwudziestym roku życia służył w małym folwarczku, gdzie mu powierzono staranie o krowach i koniach.

Magdzia, młoda wieśniaczka z sąsiedniej osady (kolonii), jednocześnie z Jankiem pasała bydlątka swojego ojca.

Spotykali się codziennie na łączce.

Janek często wyrządzał swej towarzyszce przysługi, jakie mu jego stan pozwalał, a Magdzia grzeczności Janka przyjmowała z wdzięcznością.

Codzienne widzenie się z sobą, ich jednakowe zajęcia, dobroć wrodzona i wzajemne przysługi przywiązały ich bardzo do siebie.

Janek postanowił poprosić starego Marcina, ojca Magdzi, aby mu ją oddał za żonę.

Magdzia zgodziła się na to, ale nie chciała być obecną przy rozmowie ojca z Jankiem. Nazajutrz, kiedy miała iść do miasta, poprosiła Janka, aby właśnie wybrał tę chwilę na pomówienie z ojcem.

— Wyjdziesz naprzeciw mnie wieczorem — wyrzekła — i opowiesz mi, jak byłeś przyjęty.

Młodzieniec w oznaczonym czasie pobiegł pospiesznie do ojca Magdzi. Wyznał mu bez ogródki, że kocha jego córkę i że chciałby z nią żyć na wieki.

— Kochasz moją córkę? — przerwał raptownie staruszek — chcesz się z nią żenić?... A pomyślałeś nad tem, o czem mówisz, Janku? Jakże się weźmiesz do tego? Masz-że dostateczne środki na utrzymanie żony; masz-że dom na jej przyjęcie? Zastanówże się chłopcze: sam służysz i posiadać tego wszystkiego nie możesz. Magdzia nie jest znów tak bogatą, aby mogła wystarczyć na utrzymanie twoje i swoje. Janku, to nie dla ciebie!

— Mam dwoje zdrowych i silnych rąk, ojcze — odrzekł ze smutkiem Janek. — Zarobku nigdy nie zabraknie człowiekowi, który się pracy nie lęka. Wszystko gotów jestem znieść, abym tylko mógł Magdzię nazywać swoją żoną. Dotąd zarabiam sto złotych rocznie, zebrałem ich już sto trzydzieści, które się przydadzą na koszta ślubu i wesela. Będę pracował jak wół w jarzmie od rana do nocy i moje oszczędności muszą się powiększyć. Później wydzierżawię gospodarkę. Najbogatsi mieszkańcy naszej wioski tak samo jak ja zaczęli. Dlaczegóżby i mnie powieść się nie miało, kiedy się poszczęściło innym?

— Ha, jesteś młodym Janku; możesz jeszcze czekać — wyrzekł stary Marcin. — Stań się bogatym, a Magdzia będzie twoją; ale do tego czasu nie mów mi o tem ani słowa.

Janek nie mógł otrzymać innej odpowiedzi.

Pobiegł naprzeciw Magdzi, którą wkrótce spotkał powracającą z miasta. Janek był smutny i Magdzia poznała po jego twarzy, że nie bardzo miłą wiadomością miał się z nią podzielić.

— Cóż, ojciec odmówił ci? — rzekła ze smutkiem.

— Ach! droga Magdziu, jakież to nieszczęście, że jestem tak biedny — wyrzekł z goryczą Janek. — Ale — dodał po chwili weselej — nie straciłem ja jeszcze nadziei: położenie moje odmienić się może. Wszak będąc twoim mężem, wszystko bym poświęcił, aby cię tylko widzieć zawsze szczęśliwą i w dobrym bycie. Czyż mam mniej pracować na to, aby się z tobą połączyć? Idź Magdziu, nie smuć się, a zobaczysz, że kiedyś będziemy należeli do siebie. Zachowaj tylko dla mnie twoją przyjaźń i nie zapominaj że moje serce na wieki do ciebie należy.

Rozmawiali tak idąc drogą od Jędrzejowa prowadzącą. Zmrok wieczorny zapadał ponad pasmem wzniosłych pagórków, których wierzchołki zdala jakby z niebem się łączyły. Ciągnąca się od tych pagórków dolina pokryta była wielkim posępnym cieniem i cicho już było dokoła. Ściemniało się coraz więcej, wszystko przybierało jednakową barwę, tak, że nie rozróżniłbyś zielonych liści na drzewach, od złocistego kwiecia rosnącej na wzgórkach dziewanny. Już słabe światełka, wysunąwszy się z po za chmury, nieśmiało zabłysły w obłokach.

Janek z Magdzią wśród ciemności szybko podążają ku domowi. Wtem kiedy Janek przyspiesza kroku, nagle zawadza o coś na drodze i pada jak długi na ziemi. Podnosząc się, obmacowuje rękami tę za-

wałę, o którą tak się potknął, i tuż obok dużego kamienia, na którym niejeden wóz w nocy mógł się przewrócić, znajduje na ziemi zawiniątko ze skóry, widocznie dobrze czemś napełnione. Podnosi je ze zdziwieniem, pokazuje Magdzi i oboje ciekawi dowiedzieć się, co ono zawiera w sobie, idą z drogi w bok na pole, gdzie dopalało się jeszcze ognisko, przy którem pastuszkowie we dnie piekli sobie kartofle.

Przy błędnem świetle dogorywającego ogniska Janek rozwija zawiniątko i znajduje w niem znaczną ilość pieniędzy papierowych.

— Co ja widzę! — wykrzykuje z radością Magdzia. — Więc jesteś już bogatym!

— Magdziu, jakież to niespodziewane szczęście i jak w samą porę zesłane! — mówi z kolei Janek. — Otóż już będziesz mogła do mnie należeć! Najwyższy Stwórca widać wysłuchał prośby nasze i sprzyja naszym życzeniom, bo daje nam właśnie to, czego żąda twój ojciec, daje pieniądze, bez których nie moglibyśmy być połączeni z sobą!

Ta myśl najwyższą radością przepełnia serca młodych. Wpatrują się oboje chciwie w skarb, który znaleźli. Następnie podawszy sobie ręce biegną z pośpiechem do domu ojca, aby się z nim podzielić doznaną radością. Byli już blisko od wioski, kiedy Janek zatrzymuje się nagle.

— Słuchaj Magdziu — mówi — czyż mamy oczekiwać szczęścia tylko od tych pieniędzy, któreśmy znaleźli? Czyż to pieniądze nasze? Zapewne zgubił je jakiś przejezdny, może kupiec powracający z jarmarku, który właśnie w Jędrzejowie tylko co się skończył. W tej chwili, kiedy my oddajemy się radości, być może, nieszczęśliwy człowiek jest w rozpaczy. Czyż takie pieniądze szczęście nam przyniosą?

— Ach prawda, Janku, dobrze mówisz, ale po tej krótkiej radości jeszcze smutniej nam teraz będzie — odpowiada Magdzia.

— Słuchaj: nieszczęśliwy może narzeka — ciągnie dalej Janek — może biadając włosy sobie z głowy wyrywa, a może te pieniądze były jedynym jego groszem, co go wiózł na utrzymanie starych rodziców, żony, dzieci? Przypadek sprawił, żeśmy znaleźli całe jego mienie, ale zatrzymać je przy sobie byłoby to samo co ukraść!

— Janku, przestań tak mówić, bo mi się na łzy zbiera! — przerywa mu płaczliwym głosem Magdzia.

— Tylko co nie oddaliśmy już tych pieniędzy do rąk twego ojca — mówi dalej Janek — który pewnie pozwoliłby nam być szczęśliwymi. Ale czyż można być szczęśliwym przez nieszczęście bliźniego? Idźmy do księdza proboszcza. Ten dobry staruszek był zawsze moim prawdziwym dobroczyńcą, opiekował się mną jak rodzony ojciec i przez niego to dostałem służbę w folwarku. Nie powinienem do niczego brać się bez jego porady.

Gdy Janek to powiedział, zawrócili się oboje do plebanii, która w tejże wiosce przy kościele stała.

Wszedłszy do mieszkania proboszcza, Janek oddaje mu pugilares z pieniędzmi i wyznaje otwarcie, że z początku znalezienie takowych uważał za zrządzenie Opatrzności, za dar zesłany z nieba.

Rozgadawszy się też nie ukrywa wcale swojej przyjaźni i miłości względem Magdzi i opowiada o biedzie, która stoi na przeszkodzie ku ich połączeniu.

Ksiądz proboszcz słucha go z dobrocią; wpatruje się w młodych z ojcowską miłością, bo ich wzajemne przywiązanie, a jeszcze więcej poczciwość patrząca im z oczu, wzrusza go do głębi.

Pochwala ich piękny postępek i mówi:

— Janku, zachowaj zawsze te same uczucia, a Bóg ci błogosławić będzie. Znajdziemy niewątpliwie właściciela zgubionych pieniędzy, a on wynagrodzi twoją uczciwość. Ja także przyłączę swoje oszczędności i ta dziewoja będzie twoją żoną. Pójdę sam do jej ojca i podejmuję się otrzymać od niego zezwolenie na wasze małżeństwo, gdyż oboje, będąc godni siebie, zasługujecie na taką nagrodę. Gdyby zaś o pieniądze, które składasz w moje ręce, nikt się nie upomniał, to wtenczas oddałbym je tobie. Spełniłbym w ten sposób tylko obowiązek i rozkaz zesłany z nieba, które samo przygotowało może dla ciebie tę pomoc.

Oboje młodzi zadowoleni, że uczciwie postąpili, żegnają się z proboszczem i odchodzą do domu z sercem przepełnionem radością i słodką nadzieją szczęśliwego życia.

Na drugi dzień ksiądz proboszcz ogłasza w swojej parafii a następnie w sąsiednich o znalezieniu pieniędzy.

Wielu oszustów i chciwców zjawiało się po zgubę, ale żaden z nich nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, ile pieniędzy zgubił, ani też w jakim pugilaresie były zachowane.

Tymczasem ksiądz proboszcz nie zapomniał wcale o obietnicy danej Jankowi, że się zajmie jego losem. Najprzód zaczął starać się o jakie małe gospodarstwo, któreby Janek mógł wziąć w dzierżawę na siebie. Gdy się dzierżawa dogodna w sąsiedztwie znalazła, osadził na niej Janka, dał mu na początek bydlątka do pomocy przy uprawie roli i wszelkie narzędzia potrzebne w gospodarstwie wiejskiem. Wykierowawszy go w ten sposób na gospodarza, poszedł sam do ojca Magdzi i wyrobił u niego zezwolenie na małżeństwo Janka z jego córką. Niedługo też młodzi pożenili się z sobą.

Życzenia ich były tak niespodzianie i tak prędko spełnione. Serdecznież za to dziękowali Bogu i zacnemu proboszczowi.

Janek był bardzo pracowity, a Magdzia oszczędną gospodynią. Ze swych niewielkich dochodów płacili właścicielowi osady jak najregularniej należne mu pieniądze za dzierżawę, a sami żyli skromnie, poprzestając na małem i byli... szczęśliwi.

. . . .

W ten sposób upłynęło dwa lata, a właściciel zgubionych pieniędzy jakoś nie zgłaszał się po nie.

Ksiądz proboszcz osądził, że nie należało już dłużej oczekiwać. Wziąwszy pugilares, zawierający dwa tysiące rubli, zaniósł takowy Jankowi i jego młodej małżonce.

— Moje dzieci — rzekł do nich — możecie już teraz korzystać z tych pieniędzy, które wam Opatrzność w pomoc zesłała; ale używajcie ich z umiarkowaniem, oględnie. Te dwa tysiące rubli nikomu teraz nie przynoszą żadnego dochodu. Zamieńcie więc je na inny kapitał, któryby przynosił pożytek, a zarazem nie tracił swej wartości, nie zmniejszał się. Bądźcie też ostrożni z tym kapitałem, aby go nie zatracać, bo nie jest on waszym, może jeszcze jego właściciel się znajdzie, otóż żebyście wtenczas mogli go w całości zwrócić.

Janek postanowił za te pieniądze nabyć na własność gospodarstwo, którego dotąd był tylko dzierżawcą.

Oszacowano je właśnie na dwa tysiące rubli, i te pieniądze, które uważał tylko jako dane sobie na czas jakiś do przechowania, nie mogły być lepiej i pewniej umieszczone.

Ksiądz proboszcz pochwalił ten zamiar.

Janek, z dzierżawcy stawszy się właścicielem, w niedługim przeciągu czasu powiększył wartość swojej posiadłości i doszedł do tego przyjemnego dobrobytu, którego tak pragnął dla swojej Magdzi.

(Dokończenie nastąpi).

TATULU!

„Ach, tatulu, powiedz czemu
Nasze smutne pole
Nie wydaje plonów żytnich
A rodzi kąkole?

Czemu nasza czarna chatka
Do ziemi schylona?
W gumnie pustki i komora
Z ziarna opróżniona...

Czemu twoja ta siermięga
Taka poszarpana?
Czemu?... czemu potem, łzami
Twoja twarz zalana?

Ach, tatulu!... jak wesoło
I miło we dworze,
Jak tam ciepło, jak tam jasno
O wieczornej porze!

Jak tam ślicznie! ach, tatulu,
Jak tam pięknie grają,
Tańczą, śmieją się, ucztują,
Nie płaczą — śpiewają!...

Tylko u nas zawsze ciemno
I nudno, i chłodno,
Niema ognia, chleba niema
I trudno i głodno.

Tylko u nas wicher wyje
Nad dachem chateńki,
Tylko słychać płacz i łkanie,
Cierpienie i jęki!...

Czemu u nas taka nędza? -
Och, tatulu, czemu?...
Zbudź się tato i odpowiedz,
Kto to winien temu?"

* * *

„Och, synalku, pytasz czemu
Nasza smutna dola,
Czemu u nas wielka nędza
I jałowe pola?...

Bośmy ciemni i nie wiemy
Jak się mamy rządzić,
Dokąd iść i czego szukać —
Ażeby nie błądzić!

Bo nie podał nam nikt ręki,
Porady, pomocy,
Bośmy nędzni, opuszczeni, —
Taki los sierocy!...

A gdy czasem wyda trochę
Ziarna — grunt jałowy, —
Trzeba sprzedać i opłacić
Podatek skarbowy!

A tu trzeba dach naprawić,
Pole obsiać trzeba,
A już wszystko wywieziono,
Ni ziarenka chleba!

A tu zima idzie sroga,
Wiatr mroźny powiewa, —
Dzieci jęczą w chłodnej chacie
Bez ognia i drzewa!...

Stąd i nędza, z tej przyczyny
Puste, nagie pola!...
Bośmy biedni, pokrzywdzeni —
Taka nasza dola!

Hej, co począć, cierpmy jeszcze
Cierpliwie w niedoli,
Może kiedyś wyprowadzi
Nas Bóg z tej niedoli.

Może i nad naszą strzechą
Jutrzenka zaświta
I do ciemnych naszych chałup
Blask słońca zawita!"

I. Czarnobór.

Nasze mieszkanie w świetle hygieny.

Światło.

Światło jest jednym z głównych warunków życia i rozwoju nieomal całego świata organicznego, do którego i człowiek należy. Bez dostatniego światła bije słabo tętno życia i tylko pod jego wpływem jest organizm ludzki w stanie nietylko szybko i normalnie się rozwijać, ale też na dalszej drodze życia się utrzymywać, podczas gdy przy braku światła ciężeje, tyje zbytecznie, traci sprężystość i chęć ruchu, a zamiast oddychać pełną piersią i czuć w sobie siłę żywotną, wegetuje raczej, bo cały mechanizm życiowy zaledwie tylko funkcyonuje, by śmierci stawiać zapory. Dla tego zależy na tem wiele, aby do pomieszkania wpadało zewsząd, ile możności, najwięcej światła, aby zatem okna były stosunkowo dość duże i w ścianach, ku wschodowi i południowi zwróconych, umieszczone, pomieszkanie zaś, względnie dom, rozłożystemi drzewami i innemi przedmiotami od światła nie zanadto zasłonione.

Ile możności, powinno być światło w całem pomieszkaniu jednostajne, nie zaś jeden pokój zbyt jasny, drugi zbyt ciemny, bo zmiana taka światła przy przechodzeniu z jednego pokoju do drugiego działa szkodliwie na oczy, a któryż skarb z darów bożych cenniejszym jest od wzroku? Kogo Bóg obdarzył zdrowem okiem i dobrym wzrokiem, temu niebo i ziemia nastręcza tysiące rozkoszy, przed tym rozwija się piękność natury w całej pełni, atoli bez materyi światła nie wypełnia oko ludzkie funkcyi patrzenia lecz materya ta winna uderzać oko w sposób łagodny, nierażąco, nie zbyt nagle i krótko, gdyż tylko równo rozdzielone, nie zaś bystre światło sprzyja oku o tyle, o ile nagle i znów znikające mu szkodzi, a nawet ślepotę sprowadzić jest w stanie. A jak każda siła przez zbyteczne wytężanie się osłabia, tak też rzecz się ma i z okiem.

Im ciemniejsze jest pomieszkanie i wcześniej zmrok odbiera mu światło, a musimy w niem pisać i czy-

tać, lub szyć, haftować i t. p., tem więcej natężamy oko i przyspieszamy jego zrujnowanie, zwłaszcza, że nawet sztuczne światło nie jest w stanie całkiem zastąpić błogiego światła dziennego.

Powietrze.

Ziemia nasza okolona jest gazem, który nazywamy powietrzem atmosferycznem. Powietrze to nie jest ciałem pojedyńczem, pierwotnem, lecz z innych się składającem, mianowicie z tlenu czyli kwasorodu i azotu czyli saletrorodu. Pierwszy z tych składników zajmuje według wagi 23 procent, a według objętości 20 proc., drugi zaś według wagi 77 proc., a według objętości 79,1 proc. Nadto zawiera powietrze atmosferyczne z ciał nas tutaj obchodzących 0,029 proc wedle objętości węglika czyli kwasu węglowego.

Człowiek bez powietrza żyć nie może, potrzebuje go koniecznie do oddychania, które zasadza się na wciąganiu go w płuca (wdychaniu czyli inspiracyi) i wyrzucaniu go zeń (wydychaniu czyli expiracyi) i to za pomocą rozszerzenia klatki piersiowej i ściągania błony poprzecznej. Przy każdem wdychaniu pobieramy w siebie pewną ilość tlenu, a po zużytkowaniu go w płucach, po przebyciu procesu spalenia wydychamy z powrotem odpowiednią ilość przy każdym procesie palenia powstającego węglika; w miarę więc pobytu naszego w pokoju zamkniętym musi zmniejszać się koniecznie ilość tlenu, a zwiększać ilość węglika w powietrzu, a że ten ostatni działa szkodliwie na zdrowie, nietrudno pojąć, zważywszy na szkodliwość gazu, uchodzącego na pokój z zawcześnie zamkniętego lub nie dosyć przed uchodzeniem tegoż zabezpieczonego pieca, który to gaz także niczem innem nie jest jak węglikiem.

Póki węglika tegoż nie nagromadzi się więcej nad 8 części na 10 000 części powietrza, jest ono jeszcze do oddychania przydatne, gdy więcej, staje się już zdrowiu mniej lub więcej szkodliwem. W miarę tego koniecznem jest wpuszczenie 20 metrów sześćścien. świeżego powietrza na godzinę dla każdej w zamkniętem miejscu znajdującej się osoby przy równoczesnem wypuszczaniu nieprzydatnego już do wdychania powietrza. Na pokoje sypialne liczy się już nawet 40, a na izby, gdzie chorzy leżą, nawet 60—100 metrów sześćścien. na osobę i godzinę.

Powietrze świeże, którem zazwyczaj oddychamy na dworze, mieści w sobie pewną miarę, pewien stopień wilgoci i w takim stanie jest oczywiście dla zdrowia najpomyślniejszem.

W pokojach ciepłych, ogrzanych jest powietrze częstokroć za nadto suche i dla tego niemiło oddziaływające na ciało ludzkie, transpiracya odbywa się za nadto spiesznie i skóra wysycha zbytecznie, skutkiem czego objawia się silne pragnienie i ból głowy.

Chcąc zbadać stan wilgotności powietrza, zaleca się użycie następującego sposobu:

Na otwarte naczynie sypie się 500 gramów (1 ft.) zważywszy dokładnie, świeżo palonego stłuczonego wapna i ustawiwszy w pokoju zamkniętym, pozostawia się tam przez całą dobę. Ponieważ wapno palone chciwie powietrze w siebie wciąga, więc waga tegoż powiększy się o wagę pochwyconej wody, a z powiększenia tegoż całej wagi nie trudno wnioskować o zawartości wilgoci powietrza w izbie. Skoro waga wapna powiększyła się o mniej więcej 1 proc., zatem w danym razie o 5 gramów, to powietrze mieści w sobie właściwą miarę wilgoci, w przeciwnym razie jest jej za mało, lub gdy waga przenosi 1 procent, za wiele, co także jest szkodliwe, jak to poniżej wyświecimy.

Powietrze wciska się z dworu samo przez się przez drzwi, okna, a nawet ściany, wszakże rzadko dostatecznie, dla czego należy codziennie wpuszczać takowe do pomieszkań naszych, chcąc utrzymać równowagę pomiędzy przybytkiem a ubytkiem tlenu i pozbywać się szkodliwych zdrowiu wyziewów ciała i t. d.

W celu zapobiegania zbytecznemu wysychaniu powietrza zaleca się ustawianie w pokojach wody na płaskich, szerokich naczyniach, dozwalających jej łatwe i spieszne ulatnianie się, a jeszcze lepszym i właściwszym środkiem jest hodowanie stosownych kwiatów, lub krzewów w pokojach. Te bowiem, potrzebując znacznej ilości wody do podlewania, wyziewają jej też bardzo wiele w porównaniu z swą wielkością i sycą nią powietrze.

Ktokolwiek wstąpi do ogrodu zimowego, uczuje, jak mu jest błogo, jakoby nagle został w powietrze wiosenne przeniesionym. Uczucia tego nie doznaje on wszakże tylko kosztem znajdujących się tam roślin i kwiatów, lecz także powietrza, które w celu zachowania roślin ciepło i wilgotnie utrzymywane być musi; a jest to przedewszystkiem wilgoć, która powietrze tak miłą, jakoby wiosenną wonią napawa.

Rośliny pokojowe jednakże nie powinny być mocno pachnącemi, silnie i obficie kwitnącemi kwiatami, lecz raczej obfitością liścia odznaczającemi się roślinami; zapach bowiem kwiecia np. jaśminu, lilii itp. działa bardzo niekorzystnie na nerwy, odurza i w szczupłej, zamkniętej przestrzeni o śmierć nawet przyprawić może, jak się to mianowicie słabym, nerwowym osobom już zdarzyło. Pochodzi to stąd, że z kwiecia wydziela się azot, tj. materya do procesu życiowego nieprzydatna i warunkowo organizm zabijająca. Natomiast wydzielają liście roślin tlen czyli tę materyą, która, jakeśmy to już wykazali, do podtrzymania procesu życiowego właśnie jest konieczną, a zabierając z drugiej strony uchodzący z płuc człowieka wciąż węglik, potrzebny do budowy swego ciała, przyczyniają się w dwojaki sposób do podtrzymania powietrza w pokojach w stanie właściwym.